

## Bawaria, 1976

Starsza pani pomału podeszła do okna i odchyliła firankę. Duże jezioro Starnberger See pokrywała wieczorna mgła. Przymknęła okno, bo od wody ciągnął nieprzyjemny ziąb. Pomału postawiła kubek i zalała wodą wieczorne zioła, spoglądając na zegarek. Uśmiechnęła się leciutko do siebie i przycisnęła guzik na telewizorze, rozsiadając się wygodnie w fotelu. Nie spiesząc się wyciągnęła saszetkę z herbatą, ale nie odłożywszy jej na talerzyk zamarła w pół drogi obserwując ekran, na którym błyskały flesze, po czerwonym dywanie przesuwały się postacie w eleganckich kreacjach i nienagannie ufryzowanych głowach. Przymrużyła oczy, jakby chcąc dokładniej dojrzeć szczegóły i nagle jej skupioną twarz rozjaśnił promienny uśmiech. Przez krótką chwilę trwała tak, ale zaraz ściągnęła usta z dezaprobatą, mówiąc do siebie:

- No ja się dziwię, że ten dekolt tak wypuściłaś... Ta suknia też by lepiej się miała trochę za kolano... Kto ci to szył, dziewczyno... Żeby tutaj nie podstępnować... Skąd tej wzięła teraz znowu te laczki?! Żółte do czerwieni?! Żeby choć różowe może lepiej...

Nagle wyłowiła rzadki w tym miejscu i o tej porze terkot dieslowskiego silnika taksówki. Nie było wątpliwości, że zatrzymał się pod jej domem. Chwilę nasłuchiwała ściągnawszy brwi. Spojrzała na ekran, po czym przeniosła wzrok na okno. Na zewnątrz coś się niestety działo i musiała to sprawdzić, tym bardziej, że wkrótce auto odjechało a zadzwonił gong u jej drzwi. Spojrzała zdziwiona na zegar ścienny.

- Co teraz za goście?!- zdziwiła się nie na żarty i podeszła zaaferowana do drzwi wejściowych. Dłuższą chwilę zajęło jej otwieranie kilku zamków, zapalenie światła na podejściu i sprawdzanie, czy wszystko zadziało jak należy, bo jeszcze wczoraj musiała wzywać Ottona, tego ślusarza, żeby sprawdził...

Mimo, że starsza pani nie spodziewała się nikogo, osoba, którą właśnie ujrzała była jednak ostatnią z nich.

- Przecież ty jesteś właśnie w telewizji!

Stała przed nią wysoka, szczupła kobieta w sportowej kurtce, wytartych jeansach i tenisówkach. Włosy miała zaczesane do góry i skryte pod czapeczką z daszkiem. W rękę trzymała butelkę chianti w wiklinowym oplocie, w drugiej dużą walizkę z maszyną do pisania. Niezliczona ilość większych i mniejszych walizek i toreb otaczała ją wokół.

Blondynka zaprezentowała rząd nieskazitelnie białych i równych zębów na widok starszej pani:

- Nie masz pojęcia ciociu, jak się cieszę! A ty?!

Po podróży taksówką z festiwalu w Monachium i gorącym prysznicu Barbara siedziała w miękkim płaszczu z czerwonej frotty i sącząc wino streszczała najnowsze wydarzenia.

- Cieszę się, że nasz film zdobył takie uznanie... Ale to tylko historia miłosna...

Wiesz, ciociu, po tym wszystkim, co ostatnio przeszłam i co widziałam, co słyszałam i czego się dowiedziałam... Nic już nie jest takie samo... I nic już nie będzie...

Nigdy...

Starsza pani słuchała maczając zaledwie usta w swoim kieliszku od czasu do czasu przerywając. Dawno nie widziała Barbary, która zawsze wносиła świeży powiew do jej ustabilizowanego życia.

- Wiesz ciociu... byłam w Polsce, śladami ojca... Tak, jak mi kazał: byłam w Auschwitz, także tam, niedaleko, gdzie ma być jego pogrzeb... Nie mogę wciąż tego wszystkiego posklądać...

Cały następny dzień upłynął im na spacerach i wdychaniu odżywczego powietrza płynącego od jeziora.

- Oddychaj, dziecko, u was w Ameryce nie ma takiego powietrza... No więc... popatrz na tamten pejzaż... Jak w Schneidemühl, zupełnie tak samo...

- Spotkałam człowieka... starszego mężczyznę... znał Staniego. To był Niemiec... powiedział mi, że kiedy Stani przybył do Auschwitz, jakiś wysoki urzędnik gestapo starał się złapać go na kłamstwie, jeśli chodzi o to... jak mówisz...

- Schneidemühl...

-... ale był podobno świetnie przygotowany... - Barbara, która prowadziła starszą panią pod pachę, przycisnęła ją mocniej. – Dzięki, ciociu.

Szły bardzo powoli wąską drogą wśród pofalowanych łąk, na których pasły się leniwie biało-brązowe krowy o wielkich, dobrych oczach. Przepuściły niewielki traktor, którego kierowca uśmiechnął się i krzyknął coś do nich machając ręką.

Barbara odpowiedziała na pozdrowienie i zwróciła się do starszej pani:

- Co on mówił?

- A skądże ja mam wiedzieć, dziecko?! To po bawarsku... Pewnie życzył nam miłego dnia...

- Gdzie jest to Schneidemühl, ciociu?
- Dzisiaj nazywa się Piła, na Pomorzu...
- Byłaś tam po wojnie?
- Nie. Widziałam zdjęcia...
- Jak to wygląda?
- Jak zatopiony w porcie okręt. Kiedyś wielki, dzisiaj już tylko żałosny... Spod wody sterczą jeszcze postrzelane nadbudówki, wieże kościołów, kilka starych kamienic... Ale na powierzchni już są kolorowe pudełka, takie, owakie, większe, mniejsze... Ludzie znowu tam żyją... Ale nasze miasto... Nagle podniosła głowę i spojrzała Barbarze wprost w oczy. Kobiety zatrzymały się.
- Moje miasto jest tam wciąż, pod ziemią! Wciąż są tam nasze piwnice, zasypane gruzem i ziemią stoją równo na półkach słoiki Wecka, butelki z sokiem porzeczkowym, leży zdeponowany na zimę węgiel i równiutko pocięte drewno; są pełne piwnice zapasów na tę straszną zimę 1945 kiedy przyszli bolszewicy... podziemia kościołów, schrony przeciwlotnicze... wszystko jest pod ziemią w porządku, jak się należy... Jak Tytanik w głębiach Atlantyku... albo może lepiej, jak nasz Wilhelm Gustloff na Bałtyku... A tam, na Stadtberg... Tam były cmentarze: komunalny, gdzie leżą moi dziadkowie, niedaleko byli pochowani rosyjscy jeńcy, mnóstwo ich. Sąsiedowali z następnym cmentarzem, naszych, Niemców poległych w pierwszej wojnie... Tak zwany cmentarz bohaterów. Wiesz co, czytałam niedawno wiersz jakiegoś polskiego poety... Skojarzyło mi się od razu z tym miejscem, ze Schneidemühl... On pisze, że zmarli leżąc na wznak rozpychają łokciami zmurszałe deski, rozgarniają korzenie traw i krzewów podając sobie ręce. Niemcy, Rosjanie, mój dziadek i babcia, para Belgów rozstrzelanych w pierwszych dniach pierwszej wojny za szpiegostwo, jeden pijany pilot, który rozbił się na Albatrosie i ten biedny żołnierz, którego lina kotwiczna od Zeppelina porwała ze sobą i rzuciła na stalowy ruszt ogrodzenia szkoły powszechnej... i syn państwa Shoen poległy gdzieś na Mazurach, na którego ciało czekali z niepokojem tyle dni... Oni wszyscy chwytają się za ręce i mają za nic nasz porządek tego świata... Starsza pani znowu przystanęła i spojrzała z dołu na Barbarę:
- Ależ ja ci plotę głupoty!
- Nie ciociu... Nawet nie wiesz, jak bardzo masz rację... Może tak właśnie powinno być. Podajemy sobie ręce dopiero tam? Co nam przeszkadza w tym życiu? Tak wiele nas dzieli...

Starsza pani z włosami ściętymi na pazia uśmiechnęła się. – Co cię gryzie, Basiu?

- Wczoraj zdobyliśmy statuetki za nasz film... Przedtem był kasowy western...

Dopiero teraz, po pobycie w Polsce zrozumiałam, że jest jeszcze inny wymiar życia, od którego odchodzimy, o którym zapominamy. Mamy wciąż nowe zabawki, chcemy więcej, szybciej, zatracając się w tym błędnym kole... Żyjemy coraz płycej a zarazem coraz bogaciej. Mijamy wartościowych ludzi, którzy mają tyle do powiedzenia ale nie są wystarczająco głośni i natarczywi, żeby się przebić...

Zatracamy się w obłędzie żyjąc po łebkach i udając, że tak trzeba...

- Co chcesz zrobić z tą wiedzą?

Barbara objęła starszą panią ramieniem.

- Coś wielkiego ciociu... Coś tak wielkiego, żeby wstrząsnęło Ameryką. W przyszłym tygodniu lecimy z Johnem do Australii na dwa tygodnie. Muszę w końcu pomyśleć o sobie. Mamy mieszkać tam gdzieś nad oceanem w niewielkim bungalow. Chcę zabrać się za pisanie scenariusza o tym wszystkim, zrobić wielki film, a kiedy skończę, stanę na czerwonym dywanie i poproszę, aby świat mnie ocenił.

- Nie, świat to kupa głupków i ignorantów. Ci, którzy mieliby ci coś do powiedzenia, nigdy się nie przebijają... Po prostu pokaż wszystkim tę historię, historię miłości, zemsty, historię zwykłych ludzi wplątanych w swoje czasy, wielką politykę, wplątanych bez możliwości wyboru, ale starających się być zawsze bliżej dobra niż zła... Pokaż zło i je nazwij... chociaż miałyby boleć...

Barbara uśmiechnęła się:

- No to już wiesz ciociu, po co tu przyjechałam!